

BARBARA GRZYMKOWSKA-BLOK



OSOBISTA WOJNA



Lipiec

Budzę się, bo grzmoty rozlegają się tuż nad naszym domem. Uderzenia przypominają walenie do drzwi. Serce mi się ściska. Cholera, już nie zasnę, a dopiero czwarta nad ranem.

Puste łóżko i strach w oczach. Chociaż pięć lat temu remontowaliśmy dach naszej kamienicy, boję się, że odleci w siną dal, a ja zostanę w łóżku, ubrana w seksowną koszulkę na ramiączkach, z rozwianymi włosami, jak na filmach.

Puszczam wodze fantazji: taką przerażoną i półnągą znajdują mnie strażacy. Znoszą mnie z czwartego piętra do karetki. „Oszalesiecie?! – słyszę niespodziewanie głos teściowej. – Czwarte piętro? Kto ten wózek będzie wnosił? A co z maluchami? Jak ty sobie dasz z tym radę...?!”.

Zasypiam ze złością w serduchu. Lepsza złość niż strach...

Budzę się znowu, bo tym razem rzeczywiście rozlega się walenie do drzwi. Dopiero siódma rano, kogo lichy niesie?

W obawie, że stukanie obudzi dzieci, wyskakuję z łóżka. Są przecież wakacje, mogą dłużej pospać.

Patrzę przez wizjer. Mundurowi.

Konsternacja. Strażacy z moich fantazji? Czyżby burza faktycznie uszkodziła nam dach? Czasami muszę uważać na to, co myślę. W brzuchu ciężarnej zobaczyć ciążę, której nie widać, to jedno, ale ściągnąć tu strażaków to chyba przegięcie.

– Pani Olga Poręba?

Kiwam głową.

– Czy Krzysztof Poręba to pani mąż?

Znowu przytakuję w milczeniu.



– Z przykrością informujemy, że w nocy zdarzył się wypadek. Ktoś z rodziny musi dopełnić formalności – słyszę suchy głos.

Zaraz, zaraz, to nie są strażacy? Nie chodzi o dach? Krzysztof jest przecież w delegacji...

W pierwszym odruchu biegnę do sypialni po telefon. Policjanci nadal stoją w drzwiach, nie bardzo wiedzą, co mają ze mną zrobić.

Dzieci...! Boże, jak ja powiem o tym dzieciom?!

Jeszcze nie wiem, że kolejne minuty, zapachy, dźwięki i zdania wryją się w moją pamięć do końca życia.

Biorę telefon i dokumenty, wpuszczam do domu sąsiadkę, żeby opiekowała się dziećmi, i wsiamam do auta. Przed domem rozwalam przedni zderzak. Policjanci udają, że nie widzą, co się ze mną dzieje.

Jadę za nimi, skupiona, jakby od nich zależało moje życie.

Boże, przecież zależy! Od tego, co mi powiedzą!

Makabryczna prawda wreszcie do mnie dociera. To już się wydarzyło.

Dochodzi ósma. Mijam ludzi spieszących się do pracy. Zastanawiam się, jak jutro będzie wyglądało moje życie. Wiem, że w najbliższej przyszłości nie odwiedzę swojej pracowni, a dzieci nie pójdą do przyjaciół, aby tak po prostu się pobawić. Dobrze, że mam współniczkę. Iwona musi zająć się pracownią.

Zatrzymuję samochód na policyjnym parkingu. Wysiadam i trzaskam drzwiami. W głowie tysiące myśli.

– Zaczynasz nowe życie – mówię do siebie głośno.

Serio? Dlaczego? Przecież nie prosiłam o to! Przecież nigdy nie chciałam ani więcej, ani bardziej...!

Jakiś policjant wyjmuję dokumenty i coś do mnie mówi. Słyszę tylko pojedyncze słowa, rozumiem jeszcze mniej. Wypadek... Deszcz...

Nawet nie wiem, kiedy zalewam się łzami. Łzy są wszędzie.

Jak ja, do cholery, powiem o tym dzieciom?! – powraca do mnie pytanie.

To, co się dzieje, dotrze do mnie dopiero za kilka lat. Teraz wracam

do domu jako wdowa.

W kuchni zastaję moją siostrę Zużę, która przyjechała natychmiast po moim telefonie. Zajmowała się dziećmi, podczas gdy ja ogarniałam życie. Albo nieżycie. Dzieci niczego jeszcze nie wiedzą, oglądają telewizję.

Panuje grobowa cisza, co w tej sytuacji brzmi paradoksalnie. Kręcę na palcu obrączkę. Nie mam już w sobie łez.

Wieści szybko się rozchodzą, więc telefon bez przerwy dzwoni. Krzysztof nie był sam w samochodzie, ale jeszcze nie wiem, z kim jechał.

Proszę siostrę, aby odbierała za mnie. Nie mam siły opowiadać, co się stało. Nie mam siły z nikim rozmawiać.

Nie płaczę, nie śpię, nie jem. Zaczynam palić. W ciągu kilku dniu starzeję się o kilka lat.

Dzieci wciąż nie wiedzą. Ustaliłam z rodziną, że powiem im dopiero wtedy, kiedy dostaniemy ciało po sekcji i wyznaczymy datę pogrzebu.

Osiem długich dni po tej wakacyjnej burzy moje nowe życie przypomina ogołocony górski szczyt. Gdyby nie siostra, nie dałabym sobie rady. Zajmuje się wszystkim, przede wszystkim jednak zastępuje dzieciom matkę i tłumaczy im, że jakoś się ułoży.

Przez nasze mieszkanie przetaczają się tabuny ludzi. Jedni przynoszą jedzenie, inni ubrania. Koleżanki i przyjaciółki wpadają na papierosa. Stoimy na balkonie. Każda chciałaby coś powiedzieć, ale nie wiedzą co. Kiedy zaczynają od „Musisz...” albo „Powinnaś...”, od razu się wyłączam. Bo co one mogą wiedzieć?

Wreszcie ustalamy datę pogrzebu. Ciotki zostają w salonie, a ja biorę dzieci do sypialni. Kładziemy się na łóżku. Przed rozmową przeczytałam im kilka bajek terapeutycznych, więc mówię, że tata zasnął. Opowiadam im o motylku, listku, niebie... Mówię te wszystkie pierdoły, które mają złagodzić ich ból. Czuję się idiotycznie. Serce mi pęka, łzy same lecą.



Dzieci tulą się do mnie i od tamtej chwili sypiają ze mną. Właśnie zniszczono ich świat. Właśnie zrujnowano im życie. Właśnie zabrano im dzieciństwo.

Nie mam siły przygotować pogrzebu. Pozwalam, aby inni prowadzili mnie za rękę.

Przychodzi proza życia: najnormalniej w świecie nie stać mnie na pogrzeb męża. Nie mam pieniędzy, nie mam dostępu do wspólnego konta, nie znam haseł. Z czasem okazuje się, że na naszym koncie jest debet w wysokości sześciu tysięcy. Mówię wprost, że znajduję się w czarnej dupie. Wściekłość na męża wypływa ze mnie jak lawa i zatapia wszystkie dobre chwile.

Niczego nie muszę, niczego nie powinnam. Nikt nie wie, co czuję, dlatego nie ma prawa mówić mi, jak powinno wyglądać moje życie. Mogę. Znowu wszystko mogę.

Na pogrzeb zawozi mnie siostra. W takim dniu nie było obok mnie nikogo innego. Nikt, dosłownie nikt do nas nie przyjechał. Ani ojciec, ani kuzyn, ani teść, ani wujek, przyjaciel czy kumpel.

Obie jesteśmy na prochach. Po pogrzebie jedyne, co pamiętam, to płacz moich dzieci. A potem ciszę.

Po powrocie do domu dzieci oglądają bajkę w sypialni, my siadamy na podłodze w kuchni.

Tak ma od teraz wyglądać moje życie? To jest ta nowa jakość? Bez najlepszego przyjaciela, bez miłości, bez kochania, bez dotyku, bez słów, bez wspólnych obiadów, bez śmiechu, bez kłótni?

Dopadają mnie głupie myśli. A może powinnam się cieszyć, że on teraz ma spokój, że nic go nie boli, nie męczy, że nie jest rośliną, tylko aniołem... Przytulam się do jego swetra, potem bluzy. Czuję straszny ból. Krzyk rozpaczony przynosi ulgę, ale niestety – tylko na chwilę.

Nic nie zmniejsza bólu, nic nie przynosi ulgi. Nie ma leku dla wdów.

Po pogrzebie nastaje nowy porządek. Dostaję kalendarz z masą informacji i tonę dokumentów. Wszystkie możliwe instytucje czekają

na mnie i moje papiery. Nawet sobie nie wyobrażam, ile czasu i nerwów będzie mnie to kosztować i ile niespodzianek zgotował mi mój mąż.

Siostra wraca do siebie. Zostaję sama z dziećmi. Teraz nawet kranu nikt mi nie naprawi, a co dopiero dachu... Dociera do mnie, że mam dwa kredyty i zero kasy. Nie wiem co, gdzie i jak.

Każdego dnia obiecuję sobie, że pomyślę o tym jutro. W łóżku wpatruję się w sufit. Gdyby Krzysiek żył, na pewno przyniósłby mi piwo, żebym szybciej zasnęła, i rozśmieszałby mnie, dopóki bym nie padła.

Jutro pojedę do pracowni. Jutro ogarnę rzeczywistość.

